

*Włodzimierz Jastrzębski*  
*Danuta Wróbel*

## **Klimat i faktografia „Mostu Królowej Jadwigi” w konfrontacji z badaniami historycznymi**

W ostatnich latach szczególnie modną tematyką w badaniach historycznych stało się odtwarzanie życia codziennego mieszkańców różnych krajów, regionów, miast i wsi. O ile z faktografią dla tego typu opracowań nie ma większych kłopotów, bowiem można ją czerpać ze źródeł archiwalnych oraz z licznych publikowanych lub nie publikowanych wspomnień, o tyle o wiele trudniej oddać historykowi w oparciu o standardową dokumentację klimat minionych lat. Tutaj z pewnością w odniesieniu do dziejów najnowszych w sukurs może mu przyjść literat czy publicysta potrafiący na bazie swych przeżyć i sumy doświadczeń swych bliskich, przeczytanych pamiętników oraz ustaleń historiografii opisać ze szczegółami koloryt nie tak dawno minionej rzeczywistości. Z taką właśnie sytuacją mamy do czynienia w przypadku „Mostu Królowej Jadwigi” Jerzego Sulimy-Kamińskiego pokazującego międzywojnie i lata okupacji niemieckiej w Bydgoszczy.

Podczas prawie 150-letniego panowania w mieście Niemców wraz z rozwojem pomyślności gospodarczej ukształtowała się tutaj silna liczebnie warstwa drobnomieszczaństwa. Utrwalonych stereotypów i schematów życia codziennego nie złamał przełom 1920 r., kiedy to Bydgoszcz znalazła się w granicach odrodzonego państwa polskiego. Żaden z historyków nie potrafił tak dobrze, jak uczynił to Jerzy Sulima-Kamiński na kartach I tomu „Mostu Królowej Jadwigi”, nakreślić obrazu życia tutejszego mieszczaństwa. Jakie ideały przyświecały przeciętnemu obywatelowi miasta nad Brdą? Z analizy dzieła wynika, że na pierwszym planie plasowała się uczciwość. Po to, aby dobitnie przekonać czytelnika o uczciwości bydgoszczan, Jerzy Sulima-Kamiński uciekł się do przytoczenia następującej anegdotki. Przybyły z Galicji mecenas Kątski pierwszą swoją noc spędził w bydgo-

skim hotelu z tutejszą prostytutką; rano obudził się w pokoju sam, bowiem „Pani” zdążyła już wcześniej niepostrzeżenie go opuścić; z obawą zajrzał do portfela, spodziewając się, że nie będzie w nim już ani grosza pieniędzy; bardzo się zdziwił, gdy odkrył, że brakuje tylko 10 zł uzgodnionych jako taksa wcześniej; wtedy postanowił, że pozostanie na stałe w Bydgoszczy, bo po co ma jechać dalej, skoro tu nawet panie lekkich obyczajów są uczciwe. Potem szły kolejno dwie inne cechy: pracowitość połączona z sumiennym i cierpliwym wykonywaniem swoich obowiązków oraz skromność wyrażająca się dewizą: „siedzieć cicho i nikomu w drogę nie wchodzić”. Ważną sprawą było przestrzeganie surowych norm moralnych. Prawdziwy drobnomieszczanin nie uczęszczał do lokali rozrywkowych podejrzanej reputacji w rodzaju tingel-tanłów, gdzie urzędowały blirwy (prostitutki) w towarzystwie alfonksów (sutenerów). Cechowało go swoiste poczucie wstydu nie pozwalające spoglądać na roznegliżowane kobiety (bydgoska Łuczniczka) oraz nakazujące trzymać fason, czyli ukrywać przypadki, gdyby w rodzinie znalazła się osoba, która weszła na tzw. złą drogę. Wstydzić się należało rozmaitych ludzkich słabostek np. skąpstwa, ale i rozrzutności oraz pociągu do alkoholu. To ostatnio nie przeszkadzało w tolerowaniu knajpianych wyskoków głowy rodziny, która jako zarabiająca na jej utrzymanie korzystała ze swoistej taryfy ulgowej, aby móc zrzucić z siebie troski życia codziennego. Wówczas połowica, pomna swego miejsca w rodzinnej hierarchii, miała obowiązek wiernie czekać z kolacją do późnych godzin nocnych. Do zjawisk wstydliwych należało także ubóstwo. Biedak, któremu w życiu się nie powiodło, zasługiwał na wsparcie, ale był izolowany.

Przywiązaniem do religii rzymskokatolickiej drobnomieszczaninowi wypadało obnosić się na zewnątrz z różnymi obowiązującymi w tej materii konwenansami. W każdą niedzielę cała rodzina gromadnie udawała się uroczyście ubrana na nabożeństwo do kościoła. Wszyscy znajomi i sąsiedzi winni to widzieć. Swoisty rytuał obowiązywał w zaciszu domowym. W korytarzu zawieszano kropielnicę z wodą święconą. Każdy opuszczający mieszkanie domownik zobowiązany był umoczyć w niej rękę i przeżegnać się. Matka napoczynając kolejny bochenek chleba, stawiała na nim przy pomocy noża znak krzyża. Pacierz lub cały różaniec odmawiali poszczególni członkowie rodziny przed udaniem się na nocny spoczynek.

Wśród bydgoskiego drobnomieszczactwa rozróżniano sfery wyższą i niższą. Ci z wyżyn, na ogół kamienicznicy lub lepiej sytuowani rzemieślnicy, nie utrzymywali kontaktów towarzyskich z podnajmującymi u nich mieszkania lokato-

rami. Sami z reguły zajmowali przestronne lokale, w których obok standardowych mebli obowiązkowo znajdowały się: pianino, ogromnych rozmiarów dywan i biblioteczka zaopatrzona w jakieś dzieło encyklopedyczne. Wyznacznikami wyższej pozycji społecznej były: posiadanie służącej oraz posyłanie dzieci do tzw. lepszych szkół. Drobnomieszczanie chorowali też na wielkopańskość i dlatego usilnie poszukiwali swych szlacheckich korzeni.

Wraz z przyłączeniem Bydgoszczy do Polski wielu Niemców, którzy stanowili dotychczas większość tutejszych mieszkańców, wyjechało na stałe do Rzeszy. Ich miejsce zajęli przybywający z różnych stron kraju Polacy i to oni, a nie miejscowi, stanowili odtąd elitę społeczną miasta. Różnice w wykształceniu, kulturze, języku oraz nade wszystko w zajmowanej pozycji zawodowej spowodowały animozje pomiędzy przybyszami a tuziemcami. Bydgoszczanom nie podobało się to, że nazywano ich „Krzyżakami”. Jednocześnie nie pozostawali dłużni nowym współmieszkańcom, określając ich w zależności od pochodzenia – tych z zaboru rosyjskiego „bosymi antkami”, zaś tych z zaboru austro-węgierskiego „Galicyjokami”. Ów konflikt został już w polskiej literaturze historycznej opisany. Jerzy Sulima-Kamiński ujawnił jego pokłady. Najlepszym tego przykładem są wypowiedzi Dziadusia Ażurowego na temat narzeczonej jego syna, pochodzącej ze Lwowa, a zamieszkałej w Warszawie, niejkiej Hersylii Peretiatko. Według niego kobiety z tzw. ciepłych stron tylko się perfumują, pudrują, kręcą tyłkami i nie chcą mieć dzieci. Mydło owszem, posiadają, i to z Paryża, ale miesiącami używają go tylko do wąchania. Jakby tego było mało, wszystkie te panny – zdaniem Dziadusia – uważają się za hrabianki, zubożałe na skutek rewolucji i innych zawirowań historii, faktycznie jednak są nędzarkami i prymitywnymi jedzącymi z całą rodziną z jednej miski i śpiącymi w jednym łóżku z wszystkimi domownikami, co widać po ich krzywych dzieciach.

Bydgoszcz w okresie międzywojennym była miastem przygranicznym z silną gospodarczo, choć stale malejącą pod względem liczbowym mniejszością niemiecką. Już tylko te dwie okoliczności uprawniały historyków do szukania za wszelką cenę dowodów na możliwość występowania napięć w stosunkach pomiędzy przedstawicielami obu nacji. Dodatkowo wybuch dywersji niemieckiej w dniu 3 września 1939 r. wymagał od nich jakiegoś uzasadnienia. Tymczasem na kartach I tomu „Mostu Królowej Jadwigi” Sulima-Kamiński zarysował wręcz sielankowy obraz współżycia bydgoskich Niemców ze swymi polskimi sąsiadami. Pisarz oczywiście nie mógł się zasadniczo różnić w swych

sądach (jego książka powstała na początku lat 80., a więc jeszcze w czasach PRL-u) od tego, co głosiła oficjalna propaganda, a podtrzymywali w swych opiniach „starzy” bydgoszczanie, z natury niechętni Niemcom ze względu na zbrodniczy wydźwięk okupacji hitlerowskiej. W tej sytuacji wprowadził on na karty książki kilka w cudzysłowie „dowodów” na wcześniejsze przygotowanie antypolskich działań dywersyjnych, ale rzecz ciekawa, prowiencji zewnętrznej, co jak gdyby koresponduje z dzisiejszym spojrzeniem polskiej historiografii na wydarzenia bydgoskiego września 1939 r. I tak Sulima-Kamiński sugeruje, że broń dla dywersantów była szmuglowana z Rzeszy przez szyperów barek rzecznych przywożących do garbarni Bucholca surowce, choć rewizja przeprowadzona na jednej z nich przez uprawnionego rozkazem policyjnym ojca bohatera nie dała pozytywnego rezultatu. Domysły o sprzyjaniu przez właściciela majątku ziemskiego w Ostromecku hrabiego Jomara von Alvenslebena potajemnym ćwiczeniom hitlerowskich bojówek w tamtejszych dobrach nie wytrzymują krytyki w świetle dzisiejszych ustaleń historyków. Hrabia był polonofilem i przeciwnikiem reżimu hitlerowskiego w Niemczech, za co został na początku wojny, na skutek donosu swego pasierba, wtrącony do obozu koncentracyjnego. Plotką trącą uwagi ojca bohatera „Mostu Królowej Jadwigi” o tym, że „pełno tu różnych elementów z długimi uszami i każdy z nich ma lornetkę i tylko wypatrują, co się da i potem kablują do Berlina co i jak i gdzie, że tu mamy to, a tam tamto...” (s. 225, wydanie II, Pomorze Bydgoszcz 1984). Jednocześnie Jerzy Sulima-Kamiński starał się pokazać, że władze polskiej Bydgoszczy nie zaniedbały niczego, aby zapobiec ewentualnym ekscesom. W niemieckich firmach (o tym dotąd historycy nie wiedzieli) policja zainstalowała jawne komórki wywiadowcze podpatrujące zachowania Niemców, zaś dla odstraszenia ewentualnych amatorów działań nielegalnych odbyła się w centrum Bydgoszczy defilada wojskowa prezentująca całą potęgę polskiej armii (J. Sulima-Kamiński dokonał tu pewnej manipulacji faktograficznej, przenosząc faktycznie odbytą w 1937 r. paradę na czas o dwa lata późniejszy). W sumie – jak wynika z analizy wywodów autora – powodem poprawnych stosunków narodowościowych i wyznaniowych w międzywojennej Bydgoszczy była ugruntowana tutaj przez dziesiątki lat tolerancja. Bohater „Mostu Królowej Jadwigi” Jerzyk chodził z rodzicami co niedzielę do kościoła pojezuickiego na Starym Rynku, choć po 1920 r. świątynia była oficjalnie użytkowana przez katolików niemieckich. Jak twierdziła jego mama: kościół jest stary i ładny, a modlić się w nim może każdy, nawet jakby Żyd przyszedł, to by się nic nie stało, bo Panu

Bogu obojętne jest wyznanie i pochodzenie, liczy się tylko to, po co się do kościoła przychodzi. Zresztą matka w ogóle była ewangeliczką, ale dla dobra rodziny uznała za nadrzędną wiarę swego męża i pragnęła, aby ich syn w przyszłości został księdzem katolickim. Przejawem obustronnej polsko-niemieckiej tolerancji w międzywojennej Bydgoszczy był sposób porozumiewania się przedstawicieli obu nacji. Wielu Niemców - przedsiębiorców nie znało języka polskiego, ale w swych firmach zatrudniali oni ludzi do rozmawiania z polskimi klientami. I bywało też odwrotnie. Gdy do sklepu należącego do Dziadusia Ażurowego przychodził Niemiec, to obsługiwał go znający język niemiecki właściciel, bowiem jego żona Babusia jak Dzwon nigdy się nie nauczyła tej mowy.

Jedyne, o co można mieć do autora „Mostu Królowej Jadwigi” pretensje, to to, że nie potrafił on pokazać w całym wielkim wymiarze inspirowanej przez władze polskie i niemieckie psychozy wzajemnych podejrzeń w ostatnich miesiącach poprzedzających wybuch II wojny światowej. Stopniowo opanowane przez hitlerowców organizacje mniejszościowe Niemców oddziaływały w duchu agresywnym na świadomość części społeczności Volksdeutschów. Z kolei polska prasa i polskie organizacje patriotyczne oskarżały tutejszych Niemców o działanie dywersyjno-spiegowskie. Była to w głównej mierze wojna werbalna. Jej animatorzy po polskiej stronie uciekli następnie z miasta, pozostawiając sam na sam ze zbrodniczym reżimem hitlerowskim najczęściej Bogu ducha winną polską ludność Bydgoszczy.

Bydgoszczanie lat międzywojnia, niezależnie od tego, czy byli Polakami czy Niemcami, wierzyli w rozmaite przesady. Zasługą Sulimy-Kamińskiego jest zwrócenie uwagi na to zjawisko, na ogół nieuchwytnie dla historyka. Szczególnym lękiem napawała ich masoneria, jako ruch tajemniczy i „diabelski”. W „Moście Królowej Jadwigi” masonem był Apelt, właściciel kamienicy, w której mieszkał Jerzyk z rodzicami. Ludzie mu współcześni twierdzili, że można go było spotkać w kilku miejscach jednocześnie. O tej samej porze potrafił przebywać w restauracji, pobierać pieniądze w banku i uczestniczyć w zebraniu loży wolnomularskiej przy ulicy Pod Blankami. Często go widywano pływającego rzeką Brdą, ubranego we frak, w cylindrze, z cygarem w ustach, z laską i w białych rękawiczkach. Masona można było rzekomo poznać po cylindrze i fartuszkach. Straszyl nawet po śmierci. Gdy umarł stary Apelt, niektórzy lokatorzy domu przy ulicy Królowej Jadwigi bali się przechodzić koło drzwi jego mieszkania. Mimo że przebywał już w zaświatach, wiele osób widziało go w różnych miejscach Bydgoszczy. Według ojca Jerzyka, masoni nie

chcą niczego prócz odwrócenia świata do góry nogami. Rysując obraz międzywojennej Bydgoszczy, Jerzy Sulima-Kamiński posługiwał się w części faktografią już znaną, w części natomiast potrafił ocalić od zapomnienia szereg zwyczajów kultywowanych na co dzień przez bydgoszczan. Sporo nowych rzeczy można dostrzec w sposobach spędzania czasu wolnego. Mieszkańcy grodu nad Brdą chętnie uczęszczali do teatru i cyrku objazdowego, słuchali muzyki gramofonowej, a latem jeździli na majówki do Rynkowa, pływali statkiem po rzece lub kąpali się na pływalni u Patersona. Jedną ze stałych czynności były zakupy. Sulima-Kamiński ze szczegółami opisał wygląd sklepów: spożywczego należącego do Dziadusia Ażurowego, masarskiego będącego własnością znanej rodziny kupieckiej Chwiałkowskich i wyrobów futrzarskich prowadzonego przez obywatela narodowości żydowskiej. Jego uwadze nie uszły sprawy związane z rytuałem towarzyszącym kupnu i sprzedaży. Bydgoskim ulicom specjalnego kolorytu nadawała działalność latarników zapalających i gaszących codziennie uliczne latarnie gazowe. Lokatorzy kamienic bydgoskich ze szczególnym pietyzmem kultywowali tradycje comiesięcznego wielkiego prania rodzinnych brudów. Bogatsi korzystali w tym względzie z usług wynajętej praczki, u biedniejszych czynność ta należała do obowiązków gospodyni domu. Bielizna z pralni usytuowanej w piwnicy wędrowała do znajdującej się na strychu domu suszarni, a następnie była maglowana w specjalnym zakładzie usługowym. Sulima przypomniał też funkcjonalne znaczenie przedmiotów codziennego użytku, które aktualnie wyszły już z obiegu, jak np. spluwaczka, żelazko z duszą.

Przejdźmy obecnie do drugiej części trylogii pt. „Most Królowej Jadwigi”. Do dzisiaj telewizja, radio, książki czy prasa z uporem godnym lepszej sprawy upowszechniają w polskim społeczeństwie obraz codziennego życia Polaków pod okupacją niemiecką rodem z Generalnego Gubernatorstwa. Nie brakuje w nim elementów grozy, jak nędza, łapanki, poniewierka czy terror, ale są też i jaśniejsze strony – konspiracja, możliwość prawie nieskrępowanego używania języka ojczystego, rozmaite aspekty życia polskiego, choć nierzadko utajonego. Ta panorama daleko jednak odbiega od tego, co działo się na ziemiach polskich wcielonych do Rzeszy Niemieckiej, a więc tam, gdzie także znalazła się Bydgoszcz. Bo co miał zrobić Polak, którego nie tylko że zaszczuto i zastraszone oraz zepchnięto na margines życia publicznego, ale co więcej, pozbawiono wszelkiej nadziei na przyszłość, Polak zewsząd inwigilowany przez mieszkającego w tej samej kamienicy lub obok w sąsiedztwie Volksdeutscha, którego władze upoważniły do wypełniania tych podłych obowiązków i w którego nieczystych

rękach spoczywało życie niejednej polskiej rodziny. Trzeba było ponadto wiele hartu i samozaparcia, by nie dać się przeciągnąć na drugą stronę za cenę lepszych warunków bytowych, ale także i upodlenia. Był margines osób, które z różnych pobudek na taką zdradę interesów polskości się zdecydowali. Było wielu próbujących stawiać opór, co z reguły kończyło się zakatowaniem w gestapo lub zsyłką do obozu koncentracyjnego. Co mieli natomiast robić ci przeciętni, których przecież najwięcej, wtedy, gdy miało się na utrzymaniu dużą rodzinę, a znienawidzony wróg odnosił coraz to większe sukcesy na frontach II wojny światowej? O nich to bardzo realistycznie i z ogromnym znawstwem przedmiotu napisał w II tomie „Mostu Królowej Jadwigi” Jerzy Sulima-Kamiński. Powiedzmy to jasno i wyraźnie, że jest to doskonały komentarz do całej dotychczasowej literatury historycznej na temat okupacji hitlerowskiej na zachodnich terenach II Rzeczypospolitej. Ta bowiem, rozprawiając o wielkiej polityce, często gubiła z pola widzenia sytuację i położenie najszerzszych rzesz polskiej ludności.

Dzieje mieszkańców kamienicy przy ulicy Królowej Jadwigi w Bydgoszczy widziane oczyma 12-16-letniego chłopca – oto w dużym skrócie treść książki Sulimy-Kamińskiego. Miasto od początku okupacji sterroryzowane, przy czym przytłaczające skutki tej sytuacji pokazane zostały w formie narastającej. Najpierw do mieszkańców kamienicy docierają echa akcji eksterminacyjnej rozpętanej przez hitlerowców na jesieni 1939 r. Jej ofiarą padł Lejoś Kujawa – harcerz i patriota, syn dozorczy rozstrzelany w egzekucji na Starym Rynku (postać prawdziwa – w rzeczywistości nazywał się Karol Maryński). Ojciec bohatera książki, Jerzyka, przebywał w tym czasie na tzw. ucieczce. Gdy wrócił z niej w końcu września 1939 r., rodzina była już na skraju nędzy. Brakowało żywności oraz lekarstw dla będącej w ciąży i chorej na gruźlicę matki. Powoli ich trzypokojo- we mieszkanie zapełniało się nowymi lokatorami – Polakami wysiedlonymi ze swych siedzib, których mieszkania i mienie przejęli Niemcy. W tym samym czasie trwała wywózka do Generalnego Gubernatorstwa wszystkich Polaków napływowych, zwanych teraz przez władze Kongresowiakami (Kongresspolen). Obejmuje ona także dwie rodziny zamieszkałe w kamienicy. Miejsce jednej z nich zajął niemiecki policjant Hooge, który wraz z Polakiem Bathke – zdrajcą i konfidentem – objął pieczę nad moralno-polityczną stroną życia mieszkańców. Pod dzwonkiem każdego mieszkania obowiązkowo musiała wisieć lista lokatorów. Sulima-Kamiński pisze: „...Te spisy na drzwiach są dla policji i blokleitery. Oni muszą wiedzieć kto, gdzie, do kogo przypisany. Zameldowany czy nie. Kogo po godzinie policyjnej przytapią w cudzym mieszkaniu, z tym źle. Przez te

listy blokleiter zna wszystkich po imieniu. Wie, który z nas, chłopaków, mówi lepiej lub gorzej po niemiecku. Ojciec, gdy mu się zdaje, że blokleiter nasłuchuje pode drzwiami, każe nam na cały głos wołać – Mutti! Gib mir Brot!...”.

Ojciec bohatera książki, Jerzyka, z trudem dzięki wstawiennictwu jednego z nielicznych uczciwych Niemców ratuje się przed utratą życia. Pracę otrzymał jako pomocnik woźnicy. Jego zarobki z trudem wystarczają rodzinie na przeżycie. Kawa zbożowa, czarny chleb – komiśniak rzadko omaszczony margaryną – lub marmoladą z buraków cukrowych, cienka zupka – oto podstawowe menu rodziny. Od święta pojawiała się na stole końska kiełbasa lub przeszmuglowana przez pracującego w rzeźni sąsiada, kaszanka. Wszyscy Polacy zostali skierowani do pracy fizycznej. Nie mogli posługiwać się na co dzień językiem polskim. Musieli ustępować miejsca na chodniku umundurowanym Niemcom i oddawać honory przemaszerowującym ze sztandarami kolumnom młodzieży niemieckiej z Hitlerjugend – za wyłamanie groziło ciężkie pobicie. Przed oknami kamienicy codziennie rano i wieczorem defilowały pod strażą kolumny więźniów z aresztu przy ul. Wały Jagiellońskie, doprowadzani do pracy na bydgoskim dworcu kolejowym. Byli bici przez eskortę, a często w drodze powrotnej nieśli na ramionach zwłoki swych współtowarzyszy niedoli. Pewnej nocy do mieszkania wdarło się gestapo i aresztowało jednego z lokatorów – księdza ukrywającego się pod postacią robotnika kolejowego. Jak się można domyślać, jedyną jego winą było to, że utrzymywał on przyjacielskie kontakty z innymi przedstawicielami polskiej inteligencji, a to już pachniało zdradą. On i jego współtowarzysze wylądowali w obozie koncentracyjnym w Stutthofie.

Udręki dopełniał kontrastujący z nędzną sytuacją Polaków coraz to wyższy standard życiowy Niemców, oraz tych Polaków, którzy przeszli w całości na ich usługi. Bohater książki w tajemnicy przed ojcem odwiedził dziadka w linii matki, z pochodzenia Niemca, który został zakwalifikowany do kategorii Volksdeutscha. Otrzymał on tu gościnę – bułki z masłem i serem lub kiełbasę, pomarańcze, rodzynki i czekoladowe cukierki. Jednocześnie trwało jego urabianie na Niemca. Musiał chodzić do szkoły, w której uczył się głównie języka niemieckiego, musztry wojskowej i hajlowania (podnoszenia do góry ręki w geście hitlerowskiego pozdrowienia). Za jakiegokolwiek uchybienia w dyscyplinie lub brak postępów w nauce groziło mu ciężkie lanie.

Po takie „obróbce” moralnej w lutym 1942 r. wielkorządca Pomorza Albert Forster wydał odezwę do Polaków nawołującą do wpisania się na Volkslistę. Była w niej zawarta groźba: „Kto się nie wpisze, będzie traktowany jako wróg”.



Teraz zaczęły się prawdziwe dramaty Pomorzaków, podpisać wniosek, czy też nie podpisać. Jeśli nie, to mogą wywieźć do obozu koncentracyjnego, jeśli tak, wówczas mężczyźni będą musieli włożyć znienawidzony mundur niemieckiego żołnierza. Często dotyczyło to rodzin, które z rąk hitlerowców utraciły swoich najbliższych. Ostatecznie większość zdecydowała na „tak”, traktując jednocześnie swoje postanowienie jako przyjęcie swoistej barwy ochronnej. Bo przecież nadal czuli się Polakami. Myśleli naiwnie o przygotowaniu powstania, czytali polskie książki cudem ocalone od konfiskaty, uczyli w domach potajemnie dzieci języka polskiego, radowali się z każdego niemieckiego niepowodzenia na froncie i z obawą patrzyli w przyszłość.

Druga część książki Jerzego Sulimy-Kamińskiego nie ma optymistycznego zakończenia. Pomorzak był bowiem nieufny. Liczył na wyzwolenie z zachodu i odbudowę przedwojennego państwa polskiego, tymczasem wolność nadchodziła ze wschodu. Bolszewik to ktoś całkiem nowy, kogo przedwojenna propaganda nieraz zozydzała w oczach polskiego społeczeństwa. Czy znowu trzeba będzie przestawić się, by służyć nowemu panu? Oto końcowe pytanie, na które odpowiedź miała paść na kartach III tomu „Mostu Królowej Jadwigi”. Dzieło takie ukazało się faktycznie, ale w warunkach cenzury PRL-owskiej i samocenzury autora zatraciło szereg cech autentyczności.

Opis życia codziennego Polaków w Bydgoszczy pod okupacją niemiecką ma w ujęciu Jerzego Sulimy-Kamińskiego charakter kompleksowy. Pominięcie choćby jednego ogniwa w działaniach hitlerowców wypaczyłoby nasze wyobrażenia o tamtejszej rzeczywistości. Na tym właśnie polega ogromny walor II tomu „Mostu Królowej Jadwigi”. Jest to swoista synteza, do której nie udało się dojść historykom-badaczom.

Tragizm losów okupacyjnych bydgoszczan nie wypaczył Sulimie-Kamińskiemu obiektywizmu w spojrzeniu na ówczesną rzeczywistość. Nie wszyscy Niemcy byli dla niego zbrodniarzami. Chwali postawę starego niemieckiego lekarza Hermanna Dietza, który do głębi dotknięty eksterminacją Polaków zdecydował się, ryzykując życiem, interweniować w ich obronie u samego Hermanna Göringa, zresztą bez pozytywnego rezultatu. W jego oczach na naganę zasługiwał natomiast nadgorliwy polski kolejarz, który w poszukiwaniu dywersantów w dniu 3 września 1939 r. próbował aresztować niemiecką parę 70-letnich starszuchów Nitzów, lokatorów kamienicy przy ul. Królowej Jadwigi. Oba te przykłady, opisane szczegółowo przez autora, weszły do obiegu naukowego prac historyków. Niektóre problemy zasygnalizowane jedynie w jego książce powinny stać się bodźcem do szukania

dalszych źródeł oraz dogłębnego zbadania. Dotyczy to takich spraw jak: dożywanie przez Polaków na bydgoskim dworcu jeńców radzieckich przewożonych w transportach na zachód, problem bojkotu towarzyskiego ze strony Polaków osób wpisanych do III grupy niemieckiej listy narodowej, ulicznych bójek żołnierzy Wehrmachtu z funkcjonariuszami SS, palenia przez hitlerowskich dygnitarzy w piecach swych domów ksiąg hebrajskich, stacjonowania w koszarach artyleryjskich żołnierzy - własowców, łapownictwa wśród hitlerowców, funkcjonowania tajnej wypożyczalni polskich książek, skutków nalotów alianckiego lotnictwa na okupowaną Bydgoszcz itp.

„Most Królowej Jadwigi” Jerzego Sulimy-Kamińskiego jest wspaniałą epopeją obrazującą najnowsze dzieje Bydgoszczy. Obok dosyć sensacyjnego wątku fikcyjnego wszystko inne w niej zawarte ma cechy wiarygodności i autentyczności. Dla przeciętnego czytelnika dzieło przedstawia ogromną wartość poznawczą, dla historyka jest niewyczerpanym źródłem do badania minionej epoki. Szkoda, że książka jest tak mało znana poza granicami miasta. Z pewnością dla szerszego rozpropagowania zawartych w niej treści mógłby przyczynić się nakręcony na jej kanwie film.

„To piękne, gdy człowiek jest dumny ze swego miasta, lecz jeszcze piękniejsze, gdy miasto może być z Niego dumne” – powiedział kiedyś Abraham Lincoln. Bydgoszcz może być dumna z Jerzego Sulimy-Kamińskiego, tak jak On był dumny z Niej.